

W świecie wolnych wilków

Od wielu dni przemierzały całą okolicę, szczególnie uważnie penetrując doliny strumieni. Zima rozpoczęła się wyjątkowo wcześnie. Okresy dotkliwego zimna przeplatały się z krótkotrwałymi odwilżami, śnieg ciągle jednak przykrywał ziemię. Czasami był miękki i puszysty, czasami tak wilgotny, że łapy grzęzły pozostawiając głębokie ślady, innym razem zmrożony do tego stopnia, że stopy ślizgały się po zamrożonej powierzchni nie zostawiając prawie znaków. Było ich pięć. Stary basior, największy i najsilniejszy w grupie, dorodna wadera, matka młodej niespełna rocznej samicy i samca w tym samym wieku, oraz trzyletni „Obcy” samiec, który jakiś czas temu, po wielu zabiegach przyłączył się do watahy. Od kilku dni nic nie jadły i były bardzo głodne. Wprawdzie przed tygodniem upolowały młodą łanię, ale dane im było tylko raz najeść się do syta. Gdy powróciły następnego dnia, z ich zdobyczy pozostały tylko kości i skóra. Okoliczne kruki oczyściły je z resztek mięsa. Nie było rady, musiały się zadowolić kilkoma kośćmi, które cierpliwie kruszyły i żuły. Gdy nie pozostało już nic co można by zjeść, samce oznakowały moczem sterczący opodał duży pień po ściętym drzewie – zawsze tak robiły, by inni wiedzieli kto jest właścicielem tego terytorium, i cała wataha na sygnał dany przez basiora ruszyła w drogę. Był to czas, który ludzie nazywali „końcem stycznia”, czas niezwykle mroźny. Jednak one nie odczuwały tego zbyt dotkliwie. Ich futra były szczególnie gęste i grube. Mogły dzięki nim spać zwinięte w kłębek z nosami przykrytymi puszystymi ogonami nawet w największą zawieruchę i nie było im zimno. Duże łapy, o wiele większe od psich, nie były wrażliwe na chłód. Matka Natura wiedziała co robi tak konstruując ich ciało.

Pomimo ciężkich warunków, była to najbardziej ekscytująca pora roku. Czas ruji. Wadera gdzieniegdzie znaczyła swój trop niewielkimi plamkami zamarzającej natychmiast krwi. Obcy z dużym zainteresowaniem obwąchiwał te ślady. Wiedział doskonale, kto tu ma wyłączne jedyne prawo do samicy, a jednak pomimo strachu kilka razy już próbował sprawdzać, czy przypadkiem stary basior nie zrezygnuje z tego prawa. Ilekroć jednak zdobywał się na odwagę i podchodził bliżej, spostrzegał podniesioną wysoko głowę i ogon, oraz wbity w siebie przenikliwy, dumny wzrok przywódcy. To mu wystarczało. Poprzedniej zimy był świadkiem morderczej walki o waderę. Dwa potężne samce tak były zaślepione walką, tak dotkliwie się kąsały i kotłowały, że w ogóle nie zauważyły, iż terenem ich starcia na śmierć i życie jest środek górskiej osady, a zewsząd z okien domów przyglądają im się zaskoczeni, przestraszeni i zaciekawieni ludzie. Po dłuższym czasie wynik walki został przesądzony i pokonany samiec ciężko ranny, obficie brocząc krwią, schronił się w pobliskim lesie. Długo wylizywał się z ran, lecz przeżył. Zdarzenie to nauczyło Obcego, że nic nie przychodzi łatwo, a szczególnie zdobycie przywileju przekazania genów. Pomimo podniecenia, które wywoływał zapach wadery czuł, że musi jeszcze czekać, czekać aż czas i trudy życia osłabią siły basiora. Gdy więc wataha dotarła na jedno z ulubionych miejsc dziennego odpoczynku, z pozorną obojętnością, spod przymkniętych powiek obserwował miłosne zaloty basiora do wadery.

Pozostali dwaj członkowie grupy, młoda samica i samiec przekomarzały się z nim ustalając w zabawie swoją pozycję w rodzinnej hierarchii. Obcy delikatnie choć stanowczo dawał mu do zrozumienia, kto tu jest „drugim po Bogu”.

Stopniowo narastający głód nie pozwalał jednak grupie zbyt długo leniuchować i zmuszał do coraz intensywniejszej penetracji rewiru. Miały już za sobą dwa nieudane pościgi za jeleniem i nieśmiałą, ostrożną próbę podejścia pod zabudowania niedalekiej wsi, jednak strach przed człowiekiem, jego zapach paraliżował ich aktywność. Kiedyś latem, bardzo wygłodzone krążyły nawet wokół dużego stada owiec pasącego się na łące pod lasem, lecz skutecznie odstraszyły je pilnujące stada cztery olbrzymie psy pasterskie. Cała wataha skwapliwie wycofała się do lasu uznając, że to w nim lepiej szukać zdobyczy.

Kolejnego mroźnego lecz i pięknego dnia, wczesnym rankiem przemierzały niezbyt strome górskie

zbocze. Natrafiły na znaną sobie ścieżkę, idąc za przykładem basiora oznakowały moczem wystający ze śniegu krzak i zaczęły schodzić w dół. Momentami szły trop w trop, wkładając łapy w ślady stóp poprzednika. Gdy jednak gęstwina stawała się większa a teren trudniejszy rozdzielały się na dwa szeregi, a potem już każdy biegł niezależnie. Gdy natrafiły na świeży jeleni trop wzrosło ich podniecenie, obwąchały go starannie. Ślady schodziły w kierunku strumienia, na dno dolinki. Usłużny wiatr przyniósł im zapach jelenia i głodne drapieżniki skwapliwie wciągały go w nozdrza. Wszystkie zaczęły bacznie obserwować basiora. To on był tu przywódcą, co oznaczało nie tylko wyłączne prawo do wadery, ale też obowiązek rozpoczynania i kończenia pościgu za ofiarą, przywilej wyboru strategii ataku. I tym razem nie zawiódł, gdy tylko spostrzegł schodzącego nieśpiesznie w kierunku strumienia dorodnego byka, dał znak pozostałym. Cała wataha rozwinęła się w tyralierę, na obu jej skrzydłach ustawiły się dwa najsilniejsze samce i rozpoczął się pościg. Wkrótce basior i Obcy wysforowali się do przodu i odcięli drogę zapadającemu się w śniegu i kaleczącemu nogi na ostrych krawędziach lodu jeleniowi. Nie miał żadnych szans w starciu ze zdeterminowanymi i zwinnymi przeciwnikami. Chwyciły go za oba boki i powaliły na ziemię. Sekundę później dobiegła wadera i młode. Po chwili jeleni już nie żył. Wszystkie łapczywie rozrywały skórę i wyrwały kęsy ciepłego mięsa. Instynktownie czuły, że aby przetrwać następny czas muszą zjeść jak najwięcej. Kto wie, czy za dwa, trzy dni, kiedy po raz kolejny powrócą w to miejsce nie zastaną tak jak poprzednio tylko kości i skóry. Przecież wokół pełno jest głodnych zwierząt, są lisy, kuny, kruki, jest przebudzony głodem niedźwiedź, którego ślady widoczne były na ścieżce niedaleko stąd. Gdy tylko odkryją zabitego jelenia, zaraz się do niego dobiorą. I znowu wataha aby przeżyć będzie musiała wyruszyć na zmusne poszukiwania kolejnej ofiary.

Tę historię opowiedziały mi w ciągu kilku styczniowych, bardzo mroźnych dni wilcze tropy i ślady utrwalone w zlodowaciałym śniegu bieszczadzskich lasów. Uzupełniły ją relacje mieszkańców okolic Zatwarnicy i Dwernika. Była to dla mnie porywająca opowieść, bo tak niezwykle żywa i dotycząca jednego z najbardziej intrygujących drapieżników na świecie. W naszym kraju wilki ciągle są dla jednych fascynującym obiektem polowań, a dla innych stają się fascynującym obiektem obserwacji i badań. Trudno znaleźć człowieka, który miał by do nich stosunek obojętny. Albo się je kocha, albo nienawidzi. Albo daje autentyczną radość świadomość, że żyją gdzieś niedaleko, wolne i dzikie, albo daje szaleńczą satysfakcję możliwość strzelania do nich lub czerpania materialnych zysków z tego strzelania. Bieszczady są jedynym zakątkiem w Polsce, gdzie żyje jeszcze stosunkowo duża, licząca sto kilkadziesiąt osobników, populacja wilków i gdzie zachował się naturalny, pierwotny układ drapieżnik - ofiara. Będąc zwykłym turystą gdzieś indziej na szlaku, trudno w czasie wędrowki, ot tak napotkać wilcze tropy. Bieszczady są jednocześnie jedynym miejscem w kraju, gdzie można na te wilki polować. Stanowią nie lada gratkę dla tych wszystkich, którym dla potwierdzenia własnego ego, prawdziwej męskości, trzeba zabicia owianej legendą, złej; krwiożerczej bestii. Przybywają tam więc, jak do Mekki, wszyscy niedowartościowani decydenci, „szlachetnie urodzeni”, zakompleksieni faceci, aby zasadzić się, strzelić, trafić i ... urosnąć w swoich i cudzych oczach.

Celem ich pielgrzymki jest Dyrekcja Regionalna Lasów Państwowych w Krośnie, gdzie o życiu i śmierci bieszczadzskich wilków decyduje pewien przemiły pan przedstawiający się jako miłośnik wilków. To on rozdziela licencje na odstrzał tym najbardziej zasłużonym (bo na taką gratkę trzeba sobie zasłużyć). Przybysz z zagranicy musi za nią zapłacić 2 000 marek. Do wilków strzela się zimą. Sezon łowiecki rozpoczyna się na początku listopada a kończy ostatniego lutego. Trzeba spędzić wiele dni i nocy na ambonie, przy wyłożonej przynęcie, by zobaczyć w końcu wilka i móc do niego wycelować. To oczywiście dotyczy zwykłego śmiertelnika, ale obecnie na wilki polują tylko wybrani. O terminie ich przyjazdu w konkretnym wydzielonym obwodzie łowieckim Lasów Państwowych (to grubo ponad 90% wszystkich tamtejszych obwodów) wiedzą już kilka tygodni wcześniej. Pod trzema, czterema dużymi ambonami zaczyna się wykladać przynętę. Dawniej, przed zeszłorocznym zarządzeniem wojewody krośnieńskiego, do najbliższej rzeźni jechał samochód ciężarowy i wracał wypełniony po brzegi wnętrznościami zwierząt gospodarskich. Wnętrzności te wykładano później

pod ambonami, a naukowcy z przerażeniem myśleli o rozprzestrzeniających się w ten sposób chorobach pasożytniczych. Obecnie wojewoda zabronił takich praktyk, a przynętę stanowią resztki upolowanych zwierząt kopytnych. Przez kilka tygodni okolice ambon są umiejętnie sprawdzane. Jeśli okaże się, że do którejs z nich podchodzą wilki i korzystają z przynęty to wyklada się ją tam w dużej ilości. Nie nękanie wilki, mając ciągle dostarczane pożywienie, regularnie odwiedzają przedpole ambony i stają się troszkę mniej czujne. Gdy nareszcie w Bieszczady przybywa „wybraniec”, prowadzony jest przez przewodnika do tej konkretnej ambony i najczęściej po niedługim czasie może oddać strzał swojego życia. Oczywiście nie każdy przyjazd kończy się takim „happy endem”. Czasami jest na tyle zimno, że nawet kilka godzin na ambonie to zbyt dużo. Takie właśnie mrozy spowodowały, że z trzydziestu zaplanowanych w tym sezonie do odstrzału wilków, do końca stycznia zabito dziesięć (aż dziesięć!). Innym, dozwolonym obecnie przez wojewodę sposobem polowania, jest tropienie. To bardzo żmudna i mało skuteczna metoda. Dlatego stosują ją ci mniej „ważni” pogromcy wilków. Czasami zdarza się, że jakiś szczególnie zdeterminowany myśliwy, mający zezwolenie na odstrzał, po zlokalizowaniu watahy w wybranym miejscu buduje prowizoryczną ambonkę i przez dłuższy czas wyklada przy niej przynętę. Przy dostatecznej cierpliwości może się to zakończyć zastrzeleniem wilka.

Na szczęście wilki ciągle są jeszcze czujne, dzikie i wolne i nie poddają się tak łatwo. Z tych pewnie przyczyn przetrwały w Bieszczadach, pomimo horendalnie wysokich limitów odstrzałów, dochodzących do 100% populacji (w zeszłym roku wynosił on 146 osobników, podczas gdy liczebność wilków oceniona została przez naukowców na ok. 150). Dzięki tym wilczym cechom, limity najczęściej nie były wykonywane. W RDLP w Krośnie, usłyszałam niedawno opowieść o pewnym starym lekarzu-myśliwym, który co roku przyjeżdżał w Bieszczady z zamiarem upolowania wilka. Pomimo wielu dni i nocy spędzonych na ambonach nie dane mu było dokonać tego przed śmiercią. To trafnie obrazuje jak wielkim narkotykiem bywa dla myśliwych możliwość strzelania do wilków. Podczas mojego pobytu w woj. krośnieńskim rozmawiałam z kilkoma osobami bezpośrednio zaangażowanymi w sprawę polowań w Bieszczadach, byli to m.in. dyrektor Wydziału Ochrony Środowiska UW w Krośnie, Przewodniczący Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Krośnie, zastępca dyrektora DRLP w Krośnie. Na pytanie o konkretny, racjonalny powód, dla którego ciągle tam strzela się do zwierzęcia uznanego na mocy Konwencji Berneńskiej za gatunek zagrożony w Europie wyginięciem, nie otrzymałam żadnego przekonującego uzasadnienia poza tym, że jest to przyjemne dla pewnej wybranej grupki ludzi. No bo czy można za argument uznać, eksponowaną przez myśliwych, szczególną krwiożerczość wilków, zabijających dużą ilość jeleni, skoro wiadomo jak w ostatnich latach wzrosło pogłowie jeleni i jak olbrzymie szkody wyrządzają w uprawach leśnych? Równie zabawnie brzmi argument o zagrożeniu, jakie dla ludzkich osad stanowią wilki szybko rozprzestrzeniające się z terenów leśnych na tereny zurbanizowane. Na naszą sugestię, by wyłączyć rezerwat biosfery z odstrzału tych drapieżników i ograniczyć strefę, gdzie dozwolone byłoby strzelanie do pozostałej części województwa krośnieńskiego, usłyszeliśmy, że „przecież nie można strzelać do wilków tam, gdzie ich nie ma” To jak to w końcu jest, zagrażają wilcze watahy polskim miastom, czy nie?

Najbardziej zaskakujące jest to, że stanowisko myśliwych gorliwie popierają krośnieńscy leśnicy, którzy na zdrowy rozum powinni się cieszyć z obecności drapieżników w oddanych im w zarząd lasach. Więcej wilków - mniej jeleni, mniej jeleni - więcej nie ogryzionych drzewek, a więc i straty mniejsze. Na pierwszy rzut oka to powinno być niezwykle istotne na obszarach określanych jeszcze niedawno przez Dyrektora Generalnego Lasów Państwowych jako deficytowe. A że były naprawdę deficytowe niech świadczy fakt, że około dwa lata temu LP chciały się pozbyć olbrzymich terenów przylegających do Bieszczadzkiego Parku Narodowego i przekazać je na powiększenie Parku. Ówczesny zarząd Parku przestraszył się trochę tej propozycji i asekuracyjnie postawił takie warunki, że LP nie były w stanie ich przyjąć i wycofały się. Teraz pewnie dziękują za to opaczności. A dzisiaj epatuje się widzów telewizyjnych wiadomości rozdzierającymi obrazkami szczątków jeleni zabitych

przez wilki w Bieszczadach i podaje się w obcych walutach wysokość strat jakie poniosła gospodarka narodowa tracąc tak doborowy towar na licencje łowieckie. Ponadto, dzięki wydatnemu udziałowi ministra ochrony środowiska i zabiegom dyrektora generalnego odbiera się łąki po Igloopolu, przekazane wcześniej parkowi narodowemu i oddaje się je Dyrekcji Regionalnej LP w Krośnie na nowe łowieckie eldorado. Praktycznie już całe Bieszczady (oprócz obszaru BPN) są takim eldorado pod zarządem LP i wydaje się, że ta szczególna „działalność gospodarcza” zaczyna przynosić największe zyski firmie. Może w dobie kształtującego się w naszym kraju „wolnego rynku” i bezkrytycznego stosunku do wszelkiego rodzaju biznesu, wielu osobom taka przedsiębiorczość wyda się godna najwyższej pochwały. Jeśli jednak uświadomimy sobie, że dzieje się to wszystko na obszarze rezerwatu biosfery, na terenach uznanych przez naukę za niezwykle cenne ze względu na występowanie wszystkich charakterystycznych kiedyś dla Europy gatunków dużych ssaków, a szczególnie drapieżników, jeśli zwierzęta te żyją tam ciągle w naturalnych, zupełnie już teraz unikalnych układach zależności pokarmowych, to zaczynają się rodzić poważne wątpliwości. Szczególnie, że dla realizacji wspomnianej wyżej działalności pozbawia się park narodowy przysługującej mu zgodnie z polskim prawem otuliny, zabiera przekazane wcześniej tereny, zamyka drogę do ewentualnego powiększenia. Na dodatek dyrekcja regionalna Lasów Państwowych podpisała kuriozalną umowę z Zakładem Badań Łowieckich Instytutu Biologii Środowiskowej UJ na wyłączność na badania nad wszystkimi większymi ssakami Bieszczad (w tym wilkiem). Od dawna nie jest tajemnicą, że pracownicy tego zakładu mają bardzo prołowieckie poglądy, które prezentowali wielokrotnie na łamach „Łowca Polskiego” (m. in. ośmieszając działania zmierzające do objęcia ochroną wilka) i Lasy Państwowe w Krośnie nie muszą się obawiać ekspertyz negujących zbawienny wpływ ich gospodarki łowieckiej na przyrodę Bieszczad. A że przy okazji odcięto dostęp i możliwość badań innym mniej zycliwie nastawionym do strzelania naukowcom, to już specjalnie nikogo nie obchodzi. Przykłady tego typu można by mnożyć, ale to pewnie materiał na kolejny artykuł do Dzikiego Życia.

Bieszczady ciągle jeszcze są krainą wilka. Powstała koncepcja jego ochrony na obszarze międzynarodowego rezerwatu biosfery obejmującego polską, ukraińską i słowacką Część Wschodnich Karpat o łącznej powierzchni 1500 km². Koncepcją tą zainteresowany jest WWF i inne bardziej lokalne organizacje ekologiczne. Wojewodzie krośnieńskiemu przedstawiono ten pomysł, lecz na razie lobby łowieckie jest szczególnie dobrze reprezentowane i w Urzędzie Wojewódzkim i w Dyrekcji Regionalnej Lasów Państwowych. Ma takie ogromne wpływy w Ministerstwie Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa. Świadczą o tym ostatnie decyzje ministra dotyczące terenów po Igloopolu. Wprawdzie przedstawiciele RDLP w Krośnie, zastrzegli się, że nie będą w następnym sezonie łowieckim domagać się zwiększenia limitu odstrzału wilka, odniosłam jednak wrażenie, że będzie tak dopóty, dopóki będzie istniała odpowiednia presja społeczna, dopóki los wilków nie przestanie być obojętny polskiemu społeczeństwu. Bieszczady leżą daleko od głównego nurtu życia naszego kraju, mało tam dróg, zimy są ostre i śnieżne, wiele da się ukryć przed ludzkimi oczami i uszami. Bądźmy więc uważni.

Sabina Nowak